1842. 20 LISTOPADA Nr. 33.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Ułamki

Z BADAŃ O UMNICTWIE.

VI.

Aleksander Dumas.

Utwory Dumasa stanowią zupełną z Hugonowskiemi sprzeczność; w nich wykonanie zawsze ogniste pełne uczucia i natchnienia; jeżeli w wierszu to wyrobione i w ogładzie potężne (Charles VII, Caligula); jeżeli w prozie, to męzkie, dzielne, proste, bez czczego blasku lecz silne. — Forma przedstawia wszelkie wyswobodzenie z konwencyi, bo, lubo w wielu z utworów (Henri III, Richard Darlington) zupełnie melodra-

matyczna, w innych jednak swobodna, zmienna, nawet świeża (Juan de Marana) a czasem wykończona i do najwyższéj piękności doprowadzona (Charles VII, Caligula).

Dumas jest wielkim poetą, słusznie tak go nazywać możemy, bo jeżeli nowych dziedzin poezyi nie przyczynił, wrżącą duszę w dobre wylawszy utwory, dosyć samoistną postępuje drogą. — Cztery, z utworów Dumas'a dramatycznych, uważamy za wyższe; temi są według nas: Antony, Karol VII i jego Lennicy, Caligula i Don Juan de Marana; inne utwory jego w tym rodzaju nie mogą być tyle cenione, pierwszy z nich Henryk III i dwór jego, dramy pomniejsze i komedyje, Teresa, Angélo, panna de Belle isle, są prostemi Melodramami, w których ani myśl, ani wykonanie niczem się nieodznaczają; jestto prawie stek utworów pp. Scribe i Towarzystwa, które zabawiają przez czas pewien i giną w powodzi czasu. — Ich całą zaletą jest znajomość widowni, i tę nawet zdaje się, że Scribe w wyższym posiada stopniu. — Ani myśl wyższa, ani charaktery, ani forma, nie stanowią ich zalety. Dumas nie pisał ich w natchnieniu. — Lepsze z jego utworów drugiego rzędu: *Alchimista*, piękną poezyją, starannym sposobem oddania celuje, jest-to fijołek którego pomysł tchnie czystą wonią domowego pożycia, który może być jedném z najważniejszych zjawisk dla Francyi, lecz w piśmienności powszechnéj jest tylko pięknym, — bo też same temata już są z wyższego stanowiska pojęte i wykonane. — Drugie z dzieł podobnych: Ryszard d'Arlington, odznaczający się zręcznem oddaniem osnowy. — Charakter Ryszarda należy do arcydzieł Dumasa, który zwykle w charakterystyce nie jest potężnym, myśl główna podobna do Adepta Halmowskiego, tak bowiem jak Adept dążąc do dobra powszechnego dla pieniędzy działa i dla nich poświęca później wyższe zamiary swoje, tak Ryszard, samolubstwu i własnéj dumie nietylko swoje dawne czyste cele, lecz szczęście kochającéj go żony i samą cnotę poświęca. Pod względem poetycznym zaleta Ry-

szarda jest ta, że oddanie zajść najobojętniejszych, wykonane jest z taką żywością i rozmaitością, lubo bez właściwego zapału, że mocne wzbudza zajęcie. — Inne charaktery zresztą słabo są skreślone a melodramatyczności, miejsc powszednich i zużytych, mnóstwo.

Wieża Nesle, ma cele i ideje właściwe sobie i w tém téż jéj jedyna zaleta, bo pod względem poezyi zalet ma niewiele. Gdyby był Dumas uniknął przebierań i t. p. miejsc powszechnych, możeby zręczne prowadzenie wątku i zawikłanie jego, niepospolitą były utworu tego zaletą. Lecz opuśćmy ten szereg dram podrzędnych, a do czterech najznakomitszych przystąpmy: —

Antony jest olbrzymiem dziełem, nie tyle pod względem poezyi ile jako obraz zapału i ponuréj namiętności. Charakter Antoniego oddany przewybornie. — Poemat rozpoczyna działaniem nagłem, ujmującem i przerażającem zarazem; rozwija się w zarys charakterów, w obrazy towarzystw; a kończy się wybuchem namiętności. Antony, ognista, nieszczęśliwa a szlachetna dusza, prawdziwie poetycznym jest, zajmuje nas, nawet unosi; jakże pełne cudnéj poezyi są jego słowa, czucia! —

Żałować wypada, że Dumas nie obrał innéj formy do oddania tego utworu, teraźniejszość upoetyczniać jest najwyższem zadaniem lecz zaiste bardzo trudném, jest jedynym warunkiem pod jakim wejść może w dziedzinę poezyi. Dumas zaniedbuje tego wprawdzie, obraz namiętności i charakteru Antoniego swoim zapałem staje się poezyją, ale forma potocznéj prozy nie odpowiada należycie usposobieniu autora i przedmiotowi obranemu.

Odtąd widzimy w Dumasie olbrzymi postęp formy, wyrażają go równie Karól VII jak Kaligula, a do szczytu przyprowadza D. Juan de Marana.

Don Juan de Marana dla Francyi jest szczególniéj ważnym; to okazuje najwyższą moc Dumasa nad formą. Rzecz

bowiem mimo, że w prozie oddana, zachowuje i okazuje naprzemian to przedmiotowość Szekspira i jego zarysy głębokie charakteru, to uroczość podmiotowych trochejów Kalderona. Zmienność wypadków, ich nagłość, moc, fantastyczność całego utworu, uniknienie Melodramatyzmu, jest jedną z najpotężniejszych zasług Dumasa. Juan de Marana pod względem poezyi dla francuzów ma wartość nader wielką; dla piśmienności powszechnéj, jako zwrót do odbicia prawdziwie cudnych poezyj hiszpanów w sposób samoistny, należy do pożądanych zwiastunów nowego blasku poezyi.

Karol VII i Kaligula, są w formie czysto klassycznéj; wykończenie zadziwiające, ścisłość formy wzniesiona do najwyższéj piękności, zapał niezrównany.

Antony jest uczuciem głębokiem nędzot społeczności, uczuciem bajronowskiem, rozpaczającem i przeto wyższość rzucającém w obraz prozaicznéj teraźniejszości. Juan de Marana jest przelaniem w mowę francuzką swobodnéj formy hiszpańskiéj. Karól VII i Kaligula, są w formie starożytnéj zapałem nowożytnym w życie wskrzeszonéj. *Kaligula* wskrzesza świat rzymski przyodziany w średniowieczną togę. Bo chociaż dzieje dawnego Rzymu w nim przedstawiają nam się, duch w nich, nie jest dawny rzymski

Karól VII ma za osnowę nienawiść młodego Araba, ujętego w więzy przez Chrześcijan. Beranżera żona Savoisego, jednego z Lenników Karola VII, rozwiedziona z nim, obiecuje oddać się nie kochanemu Yakubowi Arabowi, byle ją pomścił, a w chwili gdy jéj mąż ginie z ręki zakochanego i mściwego Araba, którego był w niewolę wziął dawniéj, Beranżera by do Yakuba nie należeć, wypija truciznę.

Zapał, uniesienie i żar uczuć prawdziwie orijentalny, odbite w formie spokojnego klassycyzmu, dziwne i urocze czynią wrażenie. Wychodzi forma z czczéj przedmiotowości i i okazuje się tutaj w całym uroku swoim, w całéj doskonałości do jakiéj sposób oddania przedmiotowo-klassyczny wzbić

się może. — Charakterystyka w obu utworach jest wyborna; forma czysta, spokojna, jasna i uniesień pełna, jako błękit niebios włoskiéj ziemi, a uniesieniem i zapałem do szczytu swego jest doprowadzona. — W nich pokazał Dumas co może jego poetyczny talent: oby go dla czczych, doczesnych korzyści niemarnotrawił! — *(d. c. n.)*



OD REDAKCYI.

Autor dramy p. t. Gra Namiętności *), przychylając się choć w części, do życzenia umieszczonego w Numerze 304tym Gazety Warszawskiéj, w któréj wyczytał sąd ulotny o swoim dramacie, raczył nam przesłać 2gi ułamek, zawierający dalszy ciąg Aktu III. — Wcielając go więc w niniejszy poszyt, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę naszych czytelników, na ruch i efekt dramatyczny całego aktu, a szczególniéj, na wydatne dwóch kontrastów (sprzeciwieństw) moralnych, w osobach dwóch starców — t. j. *panny de Maran i Ojca Clary*.



*) Zobacz Nr 31 Przeglądu Naukowego.

UŁAMEK DRUGI, Z DRAMY

POD TYTUŁEM:

GRA NAMIĘTNOŚCI

W 5 AKTACH ORYGINALNIE NAPISANÉJ

przez K....... N.......

(ciąg dalszy Aktu III)

Scena V.

Panna de Maran. (wchodzi z prawéj strony. Trzyma w ręku list — siada na szezlągu).

Moja Matyldka nakoniec spotknęła się. Gontran, choć zuch chłopiec, nie ma co powiedzieć — ale czoło jego nieleżało długo odłogiem......... *(uśmiecha się)* Co krok to doświadczenie w życiu!.... *(przebiega list oczyma)* W samotnym domku, przy blasku księżyca..... sama jedna..... z kim?..... z Lugartą? fi donc! z jednym chamem, którego fabrykant pojazdów nobilitował!...... Trzeba udzielić Gontranowi, argument przeciw wiecznym łzom jego żony — a tę walną, piękną Ewę, obdarzyć głową Meduzy, która ją w potrzebie zasłoni przeciw jéj rywalce. Da się to wszystko uskutecznić, — tylko ostrożnie, zgrabnie, żeby ten niedźwiedź, Mortagne o tém się nie dowiedział...... Nie ma co mówić, — pięknie się spisała jego...... nazwijmy rzeczy właściwym ich imieniem, jego córeczka. Nie dziw, jabłko nie daleko odleciało od jabłoni — i z twarzy i z czynów, podobna do nieboszczki mojéj bratowéj *(słychać dźwięk*

fortepjanu w pokoju Ewy) O!..... tamta po drodze życia sieje sobie same kwiaty! Miłość, śpiew i śmiéch! *(czyta list).*

Scena VI.

Panna de Maran, Ojciec Clary.

Panna de Maran. (*lornetując wchodzącego*)

Cóż to za patryarcha?

Ojciec Clary. (cofając się)

Uniżenie przepraszam panią. Ja zwykle nie zameldowany wchodzę do hrabiny de Lancry.

P. *de Maran.*

Przyjacielska poufałość—rozumiem! Co bądź to bądź zazdrości WPan w mężu nie zbudzisz, za to ręczę.

O. Clary.

O! Pan hrabia, nie jest z tych ludzi, co są w stanie pozazdrościć dobrych uczynków, gdyż ja mam zaszczyt być w tym względzie, plenipotentem jego małżonki.

P. *de Maran.*

Proszę! (*do siebie*) To jakiś dobroduszny pedant. (*głośno*) A z kim-że to mam przyjemność mówić?

O. Clary.

Nazywam się Benedykt Clary.

P. *de Maran.*

Zapewnie stanu duchownego?

O. Clary.

Nie pani. Ja jestem tylko nauczycielem świeckim.

P. *de Maran.*

Nauczycielem? kogo — gdzie?

O. Clary.

Szkółki elementarnéj w Schronieniu Sierot gminy Maran, którego fundatorką jest pani de Lancry.

P. *de Maran.*

A, to mi zabawka nie lada!

O. Clary. (prostodusznie)

O tak pani! Jest-to czułe przepędzenie czasu dla mego serca – i bodajby sposób mego uczenia, był zabawką dla uczących się. Staram się wszelkiemi siłami mościa dobrodziejko, aby nauka dla biednéj méj dziatwy była tylko zabawką. — Wiek ten powinien wciąż się bawić — jak następujący po nim, powinien się uczyć czuć, i pojmować — średni zaś myślić, i działać, — a ostatni, nauczać i pokutować; — bo kto długo żyje, ten dużo i dużo grzeszył.

P. *de Maran. (na stronie)*

Lubię go za to, że mię zrozumiał. *(głośno)* Ale tu mowa o WPanu, nie o jego bębnach.

O. Clary.

Daruj pani, ale ja ostatniego wyrazu WPani dobrodziejki nie zrozumiałem. *Bęben*, podług słownika Akademii, oznacza instrument z dwóch skór baranich mocno natężonych.

P. *de Maran. (na stronie)*

Masz tobie! Ja do Sasa, on do lasa! *(głośno)* Ja widzę, że mówiąc z WPanem, trzeba stawiać kropki nad *i.*

O. Clary.

O! tak pani – bez kropki, ta samogłoska byłaby niewyraźną w piśmie, lecz w mowie..... wrzeczy saméj – niepojmuję.......

P. de Maran. (na stronie)

Pocieszna to figura z tego bakałarza — bawi mię! (głośno) Są pewne wyrazy konwencyonalne w mowie poufałéj, które mają inne znaczenie w piśmie — i tak np. WPan zrozumiałeś słowo *bęben*, jak go ściśle rozumiéć wypada. Ja zaś nazwałam interesujących jego pupilów, bębnami, t. j. tłustych, okrągłych, czerwonych dzieciaków, co tarabanią WPanu nad głową, jak bębny.

O. Clary.

Z kim téż mam honor mówić?

P. de Maran.

Z margrabianką de Maran.

O. Clary. (na stronie)

A! to ta, złośliwa kobiéta. (głośno) Zkąd wypada wnosić żeś pani nigdy dzieci nie miała?

P. de Maran.

W istocie argument niezbity.

O. Clary. (mówiąc daléj)

Taką rzeczą nigdy ich pani nie pielęgnowała, nigdy ich pani nie pieściła, nigdy się za nich nie trwożyła, nigdy się z ich przyczyny nie rądowała?

P. de Maran.

Wrzeczy saméj — tych rozkoszy nianiek nigdy nie kosztowałam. Ale oświeć mię WPan, panie filozofie gminy Maran, cóż w tém tak powabnego?

O. Clary.

Mościa dobrodziejko! — Dosyć mi już tego, że żyjąc ciągle między dziećmi, nie żyje się między ludźmi.

P. *de Maran.*

Dla czego nie między bydlętami? Słysząc to, mógłby kto posądzić WPana, że podzielasz opinią tego półgłówka Jana Jakóba Rousseau, któren proponował ludzkości porzucić miasta, udać się do lasu na spacer, i żyć tam na wzór niedźwiedzi.

O. Clary.

Przepraszam WPanią dobrodziejkę — gdybym tak sądził, tobym przeczył istnieniu ogólnego uczucia braterskiego między ludźmi. Ja chciałem tylko powiedzieć, że żyjąc między dziećmi, człowiek oddycha w jakiejś atmosferze szczerości, która serca ich niewinne ciągle odświeża, — a szczerość dziecinna podług mnie, jest niczém inném, jak piérwszém tchnieniem prawdy. — U ludzi zaś dojrzałych, prawda bojaźliwie wymyka się z serca, dojrzewa zwykle w głowie, i póki nie przejdzie w formę mowy, przybiera kształt podług potrzeby interesu osobistego.

P. *de Maran.*

I ta analiza prawdy wyniosła WPana na stopień.....

O. Clary. (kłaniając się)

Bakałarza wiejskiego.

P. *de Maran.*

Nie moja w tém wina, jeżeli WPan umiesz zręcznie cudzą myśl dokończać. A więc, — bakałarza wiejskiego?

O. Clary.

Tak jest, mościa dobrodziejko — bakałarza wiejskiego; a chociaż mam tam gdzieś szpargały pargaminowe, w których mię nazywają członkiem Instytutu francuzkiego, członkiem honorowym i korespondentem Akademii Londyńskiéj, Upsalskiéj, i kilku innych, — obecny mój tytuł wszakże jest mi najmilszy.

P. *de Maran. (kiwając głową z niedowiarstwem)*

Ta! ta, ta!

O Clary.

Nie inaczéj mościa dobrodziejko; — a ponieważ w każdéj z tych świątyń nauki mam krzesło i lat 65 z górą, panna margrabianka nie weźmie mi za złe — że usiądę *(siada).*

P. *de Maran. (na stronie)*

Zwrotka nie zła; ma dowcip. *(głośno)* W takim stanie rzeczy nie pojmuję, dla czego pan zamieniłeś laur akademicki na brzózkę szkółki elementarnéj?

O. Clary.

Dzieci można także karać boleśnie, odmawiając im miłości ojcowskiéj. — Co się tyczy bakałarstwa mego, tom go polubił dla tego, że...., ale o tém długo rozprawiaćby wypadało... a chociaż mówimy tym samym językiem — niewiem czy byśmy się zrozumieli.

P. *de Maran.*

Warto jednak spróbować, — kto wie, czy pan nie odkryjesz jakiego spleśniałego zmysłu u margrabianki de Maran do którego mądrość przylgnie?

O. Clary.

Przyjmuję wyzwanie, ale nie dla przepędzenia czasu jak WPani dobrodziejka sądzisz. — Bo pocóżeś mię zatrzymała? Byłaś pani sama — nawinął ci się oryginał, i chciałaś się zabawić.

P. *de Maran.*

Tak, w istocie! Chciałam zdjąć umysłową kopią z tego oryginału.

O. Clary.

Niech i tak będzie! ale pamiętaj pani, że oryginałom wiele wolno i dużo się przebacza. — Cofnąłem się więc w tył w hierarchii naukowéj — bo działać, zawsze korzystniéj jak rozprawiać — a czas nagli, pokolenie dzisiejsze występnie swawoli— z resztą, WPani dobrodzijce wiadomo że my Francuzi nie znamy średnią proporcyalności w rządzach, zawsze harcujemy na krańcach ostateczności. Jak tylko wylęgnie się jaka myśl w narodzie, wnet ją pokochamy namiętnie. Nie dawno okopceni dymem sławy, rozpinaliśmy nasze namioty po świecie jak hordy Hunnów. Dzisiaj, pozamykaliśmy się w sklepach, w giełdach, w kantorach bankierskich. Myśl zarobku szalonego, owładnęła naród, i serca pokryły się powłoką monetową, gdy tym czasem żądze codzień więcéj się rozpłomieniają. Z tego stanu moralnego, zrodziła się obojętność dla wszystkiego co się znajduje za obrębem uczucia. Iskry uczucia możnaby jeszcze rozdmuchać — ale z ciepłych popiołów obojętności ciężko co wydobyć — a właśnie ta obojętność ogarnęła u nas nizkie i średnie strefy społeczeństwa. Gdy stąpimy teraz o kilka stopni niżéj — cóż ujrzymy? Żądze zwierzęce i zakamieniałą niewiarę! Wszędzie zwaliska! trzeba więc wszędzie naprawy!

P. *de Maran.*

Cóż to wszystko nas może obchodzić, co stojemy wysoko?

O. Clary.

Po tém pytaniu, sądziłbym, że obojętność zakradła się także do kasty, do któréj pani należysz — ale nie tak się jednak rzeczy mają. — Tam jeszcze pała ofiarnik wiary naszych ojców. — Zachodzi jednak pytanie, czy rzeczywiście pała w sercu? o tém zwątpię — bo gdyby inaczéj było, tobyście oddawna już zawód apostolski rozpoczęli t. j. zniżylibyście się do ludu, a będąc możnemi i zamożnemi, rozpoczęlibyście powoli jego wychowanie moralne, tak, jak to uczyniła pani de Lancry.

P. *de Maran.*

Ja zwykłam zawsze żyć w dobrém towarzystwie, mości Clary. —

O. Clary.

Towarzystwo tych co potrzebują pomocy, jest zawsze dobre.

P. *de Maran.*

Wszystko arcy pięknie i filozoficznie — ale jakąż to ma styczność z dzisiejszém powołaniem pana Clary, członka Instytutu, i czegoś tam jeszcze?

O. Clary.

Otóż, zastanowiwszy się nad tym stanem chorowitym społeczeństwa kilku-dziesięciu obywateli litością zdjęci, postanowili stowarzyszyć się, w celu niesienia pomocy duchownéj, téj części ludu francuzkiego o któréj mowa. Mnie spotkał zaszczyt kierowania całém przedsięwzięciem, i w skutek tego zamknąłem na klucz moje naukowe dyploma, wziąłem kij w rękę, i puściłem się w drogę z gminy do gminy, przypatrywać się jakim sposobem niwy pierwiastkowego

wychowania ludu są zasiane. Już drugi rok tak wędruję. Zatrzymałem się w téj włości dla uorganizowania zakładu istniejącego z łaski pani de Lancry. Tu zacząłem rozwijać skromną naszą myśl pedagogiczną. Tu ciągle powtarzam dzieciom: że wolą Boga zostali umieszczeni w klassie pracującéj, — że w oczach, Jego nie ten pracuje co wyłącznie pracuje dla siebie— ale ten, co myśli że pracuje dla ogółu. W téj prawdzie bowiem jest cała nauka — to jest: bojaźń Boga i miłość bliźniego; —tylko trzeba ją rozwinąć, trzeba stworzyć mowę zrozumiałą dla dzieci ludu prostego, a nadewszystko trzeba stwierdzić czynami te proste teorye, dotąd bezowocowe, prawie martwe; — trzeba obudzić życie, nadać ruch uczuciom, spowodować cyrkulacyą duchową w téj leniwéj materyi, co się zowie ludem. *(Panna de Maran zaczyna drzymać — Ojciec Clary nie spostrzega tego)* Takie jest nasze zadanie, mościa dobrodziejko, — zadanie śmiałe, może nie do wykonania, i koledzy moi rozpoczęli już tę pielgrzymkę po Francyi, ale.... *(spostrzega pannę de Maran śpiącą)*..... I ona śpi!.... Nie dziw — iskra Boska w téj kobiécie zgasła — ciało drzymie — a więc bezwładność i tu i tam, — tylko żywioł złego ducha jest w niéj czujny.— Mam ja jednak sposób obudzenia cię.— Do tego przedsięwzięcia trzeba wszechwładnago żywiołu co nadaje ruch żądzom i myślom, równie występnym jak cnotliwym, jedném słowem trzeba pieniędzy. Nie jeden grosz wdowi już wpłynął do naszéj skarbony i płynie jeszcze, — nie jeden hojny datek już go zasilił. *(podnosi głos)* Są jeszcze ludzie co mocno czują, głęboko myślą, a między niemi krewny pani de Lancry, półkownik de Mortagne.

P. *de Maran. (nagle się przebudziwszy)*

Półkownik de Mortagne? Kto mi skaleczył ucho tem imieniem? a! to WPan panie filantropie koczujący.

O. Clary.

Panna margrabianka oryginalne nadużycia robi z właściwego znaczenia słów.

P. *de Maran.*

A WPan ze sztuki grupowania słów — gdyż słuchacz twój zasnął.

O. *Clary.*

Czujnie jednak spi, bo go imie własne obudziło.

P. *de Maran. (wstając)*

O! to imie ma własność wskrzeszenia mię! Powiedz, powiedz starcze, jakim sposobem to i mie wplątało się w twoję narkotyczną mowę?

O. Clary.

Jako imie członka i dobroczyńcy naszego towarzystwa.

P. *de Maran.*

Nie — nie — w tém wszystkiem coś się ukrywa.

O. Clary.

Może! . . . .

P. *de Maran.*

Co mówisz — może? Słuchayno — Ja także chce należyć do składki *(dobywa z puliaresu bilet kassowy)*. Oto są 1000 franków — możesz ich nawet bezpiecznie w rubrykę przychodów nie wnosić.

O Clary. (biorąc bilet)

Jakto pani? Tym sposobem cyfry zsummowane, nie zgadzałyby się z summą w gotowiznie?

P. *de Maran (uśmiechając się)*

Ja ci też właśnie to mówię szanowny panie Clary dla tego, abyś tę summę zeskamotował dla siebie — Ale mów, mów kochany, poczciwy, panie Clary — cóż półkownik de Mortagne? bo czuję instyktém że w tém *może* co ci się wyrwało — jak w nocnéj zasadzce, czycha ten człowiek.

O. Clary (powstaje z swego miejsca, krzyżuje spokojnie ręce na piérsiach, i kiwając smętnie głową, patrzy się na margrabiankę)

Wszak nie mylę się, pani jesteś nie kto inny jak ciotka pani de Lancry?

P. *de Maran*

Nie mam dowodów prawnych, że nią w istocie nie jestem.

O. Clary.

Ja także nie mam dowodów prawnych, żeś pani tu przybyła z zamiarem uzupełnić dwudziestoletnie prześladowanie swéj synowicy — ale ponieważ znajdujesz się tu — a więc nowa klęska domowa ją czeka. — W prawdzie dowodów nie mam, że pani korrespondujesz skrycie z Lugartem, w zamiarach zgubnych dla pana de Mortagne, ale on je ma.

P. de Maran.

Z dziećmi żyjesz, ty stare dziecko, i sądzisz że i mnie możesz nastraszyć jak dziecko?

O. *Clary.*

Ludzie źli, którym wszystko długo bezkarnie uchodziło — przyzwyczajenia są odważni w złém — ale wiek przytłumił w pani nawet ten rodzaj krzepkości. Dosyć mi było rzucić nawiasem imie *Mortagne* w naszą rozmowę, aby panią zelektryzować, dosyć mi było napomknąć półsłówkiem że między mną a półkownikiem

jest jakieś porozumienie, aby panią pokusa wzięła mnie podkupić — a dosyć było oznajmić, że szlachetny mój przyjaciel wie o pani zamiarach, abyś drżéć zaczęła jak listek.

P. *de Maran.* *(pada na krzesło i ociera sobie chustką pot z czoła)*

Zkąd się to stare widmo wzięło? po co ono tu przyszło?

O. Clary.

Dla sumienia zakłóconego, sumienie spokojne jest widmem. Zresztą przypadek wszystko zrządził. Szukałem młodéj méj przyjaciołki, a spotkałem jéj śmiertelnego wroga. *(postępuje do niéj bliżéj)* Żyjesz pani blizko 70. lat — jestto długi szereg dni, ale powiedz, powiedz, czy jest w nich choć jeden dzień pogody dla twego sumienia? Milczysz? — więc zeznajesz. O jakże cię żałuję! *(oddaje margrabiance bilet bankowy).* Odbierz pani ten bilet. Był czysty, póki go słowy nieskalałaś. Terazby splugawił składkowy kapitał co już posiadamy.

P. *de Maran.* *(żywo, drżącym głosem)*

Z obelg, które przymuszonam słyszéć — kwituję cię! *(dobywa pugilares)* Małom ci dała. — Na, na — weź ten pugilares — to dobre — o! to wyśmienite! Dziesięć tysięcy franków tu spoczywa. Ale za to, przyrzeknij mię szanowny panie Clary, twym wpływem zdziałać to, że P. de Mortagne, przestanie wierzyć haniebnym plotkom, które na mnie rozsieli źli ludzie — bo, wszakże dowodów nie ma, o méj styczności z Lugartem — nieprawdaż?

O. Clary.

Waga, działa podług swéj czułości normalnéj, a pani wa-

żysz ludzi podług swych zasad. Rzekłaś do siebie: »sumienie jest towarem zamkniętym, a pieniądz kluczem co je otwiera.« Mylisz się pani—są jeszcze ludzie (i dzięki Bogu, liczba ich nie tak ograniczona) co podobnéj zamiany nie rozumieją. Żegnam cię margrabianko de Maran — ale pamiętaj, że półkownik de Mortagne ma dowody! — pamiętaj, że on się bronić będzie, chce, i musi (*odchodzi*).

P. *de Maran.* (*ścigając go*)

Starcze! starcze! posłuchaj jeszcze słowo!.... Poszedł, nie obejrzał się nawet. Bądź przeklęty! Na prośby słabego, byłeś głuchy. (*głębokie dumanie — nagłe przebudzenie*) Obrońcy mi trzeba — bo Mortagne jest straszny człowiek (*myśli*) Tak, Gontran nim będzie..... Tego zważyłam jak czerwony złoty. Kupię go jednym paragrafem mego testamentu—ale poczeka długo..... czuję się jeszcze na siłach (*odchodzi powolnym krokiem do gabinetu na prawo*).

Scena VIII.

(*Ewa i Matylda wchodzą na scenę żywemi krokami. Piérwsza, chwyta hrabinę de Lancry za rękę, i pada przed nią na kolana.*

Ewa.

Nim mię ukarzesz, wysłuchaj; ulituj się nademną i nad sobą!

Matylda.

Kobieto! czego mię ścigasz wszędzie? Na Boga! co to zna-

czy? Zwiastujesz mi nieszczęście—bo cóż innego być może? Ja tak byłam spokojną, tak szczęśliwą — szczęściem, którego ty zrozumiéć nie możesz — szczęściem, o którém się niedowiesz, bo byś mi go pozazdrościła! Oddal się — oddal, wszystko ci przebaczam.

Ewa.

Niestety! znam to szczęście — pojmuję go, błogosławię ci, chociaż zazdroszczę. (*bierzę rękę Matyldy, którą przyciska do serca*) Ty wyglądasz dnia, w którym dasz piérwsze pocałowanie twemu dziecku!.....

Matylda.

Mów! Skądże to wiesz? Moja stara piastunka Blondeau wie — ale Blondeau to ja; — Gontran wie — ale Gontran to ja — a wszystko tajemnica.

Ewa.

Biedna siostro moja! — Mylisz się — Gontran to ja.

Matylda.

Kobiéto, ty kłamiesz. Prawda z ust twoich wyjść nie może — Jestem spokojną.

Ewa. (*kładąc rękę na sercu*)

Ja prawdę mówię.

Matylda.

Daj mi zebrać myśli Ewo! (*dotyka się czoła obiema rękami*) Tu chaos! (*milczenie*) Teraz słucham.

Ewa.

Ty będziesz matką Matyldo..... to przekonanie rozbroiło mnie — Przed chwilą układałam zgubę twoję. W chara-

kterze moim, są dziwne sprzeczności.... straszny ogień namiętności obok władzy zimnego, dojrzałego rozsądku. Patrząc na ciebie z okna, jakieś powolnym krokiem schodziła z ganku ocierając sobie łzy, mogłabym cię była dopędzić i zamordować — ale rozsądek ustalił wnet równowagę w moim gniewie; pomyślałam o zgubnych skutkach podobnego czynu. Cóż mi więc pozostało? Oto, zemsta moralna.—Mam ja jeszcze inne zarysy w charakterze. Serce moje jest czasem zdolne rozgrzać się raptownie, jakiémściś szlachetném, wspaniałomyślném uczuciem, a wtenczas mogę spełniać nieskończone ofiary.— Jestto jednak stan przemijający méj duszy, i kiedy ci to mówię Matyldo, silną jestem, piękną jestem w duchu, bo właśnie czuję się w całym blasku poświęceń! Czy tylko na długo — nie wiem. — Próżność kobiécą, dumę ludzką — poskromiłam — klęcząc, uznałam wyższość twoję. Za tę pokorę żądam wiary w me słowa.

Matylda.

Wierzę i truchleję!

Ewa. (całując ją w rękę)

O! jestem niemą na ten dowód łaski.— Dziękuję ci! A teraz, uzbrój się męztwem biédne dziécię. Dowiesz się rzeczy bezecnych, zdumiewających.—Tyś mi się zdawała wszystko posiadać — byłaś dla mnie ideałem szczęścia, a w istocie jesteś wyrazem najwyższéj niedoli! Z dzieciństwa, czułam w sobie niepojęty żywioł wiecznéj wojny, przeciw tym co posiadają. Od niemowlęcia, matki już nie miałam,—a znasz pana de St Valier — ten człowiek wydarłby siérocie i wdowie ich mienie, pozazdrościłby jeniuszowi płomienia niebieskiego co w nim pała. On mnie wychował — od niego to przejęłam.

Matylda.

On ci dał życie.

Ewa.

On mię błędnie poprowadził w życiu, ale mi go nie dał.

Matylda.

Co ty mówisz?

Ewa.

Prawdę. Pan de St Valier nie jest mym ojcem. Póżniéj więcéj się o tém dowiesz. Przypadkiem wpadł w moje ręce ułamek dokumentu, co cię o tém przekona. Ale czas leci. Mąż mój może nadjechać — każda upłyniona minuta spóźnia zeznanie. Usłyszałaś ich już niemało w tym pokoju. — Po odbytéj walce odeszłaś skromna w cierpieniu, skromna w nienawiści, a ja zostałam tu, i kipiałam ze złości. W téj chwili nadszedł Gontran. »Złem ugodziła w jéj serce« pomyślałam sobie, a więc ugodzę w jego serce, wszak ona w niém rozkoszuje. Udałam śpiącą, i tu się rozpoczęła dopiéro wielka scena kokieteryi. Pogarda, ironia, przeplatana gdzie-niegdzie, jasném wejrzeniem miłości, dobrodusznym giestem i mową namiętną, były ponętami, którym się twój mąż oprzeć nie mógł — poświęcił bez namysłu Ciebie, świat, honor, wszystko!

Matylda.

Tak — Ty mówisz prawdę Ewo.

Ewa.

Ja się oczyszczam na prędce z grzechów. I ten człowiek myśli, że stanę się wspólniczką jego! I ten człowiek myśli, że go kocham — ja, jego kochać? — nigdy! Pragnęłabym nauczyć się być lepszą; przy nim, mogłabym się stać okropną. Ja mogę tylko kochać do szaleństwa amanta pana, amanta tyrana, a bawić się amantem niewolnikiem. Dla piérwszego, byłabym nikczemną niewolnicą, drugiego używałabym za po-

duszkę pod nogi — ale w piérwszym i w drugim chcę czystości charakteru, a Gontran podły. O! niewzdrygaj się Matyldo! Tak — podły! Chiałam aby on został wspólnikiem méj zemsty. Otrzymał wyznanie miłości, piérwszy czuły zadatek nieprawych przyszłych ślubów — a to wszystko....... (*pada na kolana)* oblewam łzami twe stopy! a to wszystko bez miłości, z zimną kalkulacyą kupca, co liczy procent od zamierzonéj spekulacyi! I kiedy Gontran płakał, przyciskając mnie do swego łona — szalał z radości, dziecinniał od zbytku szczęścia — wtenczas to, żądałam aby się z tobą rozłączył na zawsze! W tym stanowczym czynie jego życia, nie wahał się ani chwili. »Żądaj więcéj, rzekł do mnie« i wtenczas powiedział mi, tak, zniechcenia — z całą naiwnością występku — że spodziewa się być ojcem; — wtenczas skreślił mi treściwie wasze pożycie. O jakżeś była nieszczęśliwą! ty — którą dotąd uważałam jako ideał szczęścia.

Matylda.

Nie! nie — ktoż temu zawierzyć może? Świat jeszcze niewyklęty od Boga! Ludzie jeszcze nie wszyscy potępieni! Cnota się tylko kryje, ale nie wygnana. O gdybyś wiedziała przez jaką krwawą próbę mnie przeprowadzasz! Precz — precz mi z oczów!

Ewa.

Siostro! Nie odpychaj mnie, nie złorzecz! Przebacz, pobłogosław! Kto wie, czy nie sprowadzisz mię na drogę prawości. Przez litość na siebie, na przyszłość twego dziecka, zawierzaj mym słowom. Oto patrz — *(idzie do biórka, chwyta żywo za pióro)* Napiszę do Gontrana. Wyrażę mu uczucia po gardy jakie on wemnie wzbudził, a razem wyznam mu jaka była przyczyna istotna rendez-vous, które mu dałam. Będzie tu dowód na piśmie, któren ci wręczę — a ty będziesz go mogła pokazać Panu Sécherin kiedy ci się tylko podoba·

Ja znam go — on nigdy mi nie przebaczy! wypędzi haniebnie z domu—a pan de S[t] Valier, wyrzeknie mnie się.—*(Przysłuchuje się, nadstawiając głowę ku drzwiom środkowym)* Ale słyszę stąpanie — to Gontran — on mnie szuka. *(Zabiera nadpoczęty list)*. Biegnę do mego pokoju dla dokończenia listu.— Matyldo, uczyniłam ci spowiedź jak przed Bogiem — bądź mi miłosierna jak on! Wracam do męża, nieczekając nawet na jego przybycie.

Matylda. (pasując się z sobą)

Przypominasz mi, żem chrześcianka. Przypomnij sobie że nią także jesteś. *(Ociera sobie łzy, Ewa ściska ją, milcząc, za rękę — i odchodzi do gabinetu na lewo).*

Scena IX.

GONTRAN I MATYLDA.

Gontran. (ogląda się po salonie, jak gdyby kogo szukał)

Samą jesteś, Matyldo?

Matylda.

Jak zwykle.

Gontran.

Jak zwykle? To trąci coś wyrzutem. A! są i łzy. Tu coś takiego zaszło.

Matylda.

Tak jest, coś zaszło stanowczego w naszych losach. —

Gontran.

Chociaż jesteśmy związani nowemi ślubami małżeńskiemi

przeczuwam jednak prolog do dramatu. — Czy wolno wiedzieć?........

Matylda.

Koniecznością jest nawet.

Gontran. *(siada)*

Gotów jestem słuchać perory.

Matylda.

Dosyć będzie dwóch słów.

Gontran.

O! dziękuję ci — ja przepadam za lakonizmem.

Matylda.

Gontranie! Ja cię już więcéj nie kocham.

Gontran. *(wskakując ze swego miejsca)*

Hm! Co?....... To łatwo powiedzieć.

Matylda.

I dowieść.

Gontran

Czy tak? A więc kogoż kochasz?

Matylda. *(dumnie)*

Zapominasz, że się nazywam hrabiną de Lancry.

Gontran.

Jest to piękny frazes — nic więcéj — ale serce kobiéce próżném być nie może.

Matylda.

To też moje nie próżne — będę matką

Gontran. (*wahając się*)

. . . A ja jestem szczęśliwym kochankiem Ewy — (*do siebie*). Przecież nakoniec zrzuciłem z siebie to brzemię!

Matylda.

Wiem o tém, Ewa mię o wszystkiém uwiadomiła.

Gontran.

Ewa? — Wszystko niespodziane u téj kobiéty! Te barwy charakteru coraz nowe i nowe — odświeżać ją będą zawsze i zawsze! Wyznaj Matyldo, że nawet kopii podobnéj kobiéty nie ma na świecie?

Matylda.

Ty kochasz inną — ja ciebie nie kocham, ale to mi nie zabrania ostrzedz cię, że jesteś śmiesznym.

Gontran.

Przepraszam cię, Matyldo. W saméj rzeczy, zdaje mi się żem niedorzeczność powiedział; a przestroga którąś mi uczyniła, z całą przytomnością umysłu i serca, dowodzi, że istotnie miłość twoja da mnie pomału gaśnie—

Matylda.

Zgasła zupełnie Gontranie. Są pewne czyny, które w perzynę obracają uczucia. Nie będę ci ich wyliczała, zmęczyłoby mię to — a ja i tak odpoczynku potrzebuję.

Gontran.

Słuchaj Matyldo! Jeżeli kiedykolwiek byłem czuły — to teraz! Ta pokora wzrusza mię. Nienawistną, nigdy mi nie byłaś — obojętną zawsze. Świat nazwie mnie okrutnym, a ciebie ofiarą. Drwię ze świata! Opłacę mu obelgą za obelgę, gwałcąc prawa obyczajności. Jestem ślepy na wszystko, bo światło mych oczów, w oczach Ewy. Ja nie wiem czém się to działo, ale przy tobie więdłem na duchu i na umyśle — przy boku Ewy zakwitną na nowo; — każdy człowiek ma swoje przeznaczenie na téj ziemi; — jeden żyje z samych poświęceń bliźniego, drugi sam się poświęca. — Wyznaję, jestem słabym człowiekiem — należę do rzędu pierwszych — ty do drugich. Postępuj drogą wskazaną ci od przeznaczenia — ja zaś pójdę swoją drogą.

Matylda.

Daruj mi Gontranie, żem cię szczęśliwym uczynić nie umiała. Dopiero teraz przekonałam się, że żona, która kocha, boi się, i ciągle płacze, — prędko się sprzykrzy. A teraz gdym ci pokazała stan mego serca, a ty całą nagość twoich myśli, przystąpmy do rzeczywistości. Ta piękna włość, ustronie méj matki, warta milion — wiele na niéj długu? Mów śmiało — ty mię już niczem nie zadziwisz. — Ja się obejdę byle czém — ale może przyjść wierzyciel, któren później będzie się dopominał o schedę swoich rodziców.

Gontran.

Wierzyciel, o którym mowa, dopiero będzie żył, — a ja żyję.

Matylda.

Okropne słowa! No i cóż przecięż — powiedz przez li-

tość! czy zostało się tyle — żeby twemu dziecku zapewnić niepodległość?

Gontran.

Bądź spokojną.

Matylda.

Będę nią, jak akt zostanie podpisany urzędownie.

Gontran.

Matyldo, ty wiesz jak niebezpiecznie mnie gniewać. Daję ci słowo, że ten interes załatwię.

Matylda.

Ja się ciebie już nie boję Gontranie. Dajesz mi słowo, że interes nasz majątkowy załatwisz. Był czas kiedy słowo twoje mości de Lancry, było dla mnie artykułem wiary — dziś, pismo lepsze, o obliwie przy świadkach.

Gontran.

Mościa pani, — co ci daje prawo powątpiewać o moim honorze?

Matylda.

Doświadczenie.

Gontran.

Matyldo! *(do siebie)* Ona wie o wexlu! Biada jéj. *(Tu słychać przeraźliwy krzyk Ewy w gabinecie na lewo, i stuk padających mebli. Ewa wlatuje na scenę — tuż za nią Pan Sécherin, trzymając w jednym ręku list otwarty, a w drugim krótki harapnik. Kostium podróżny. Pani Sécherin kryje się za Matyldę, i chwyta ją konwulsyjnie za ręce. — Osłupienie Gontrana).*

Scena X.

Ewa. (krzycząc)

Zeszedł mnie!.... przeczytał — zabić nie ma czém — ale chce znieważyć... Brońcie mnie, brońcie!

Pan Sécherin. (z wyrazem obłąkania w oczach rzuca się na Matyldę)

Ha! występek udaje się pod opiekę cnoty. Z drogi cnota! z drogi! Ja chcę występek napiętnować, żeby świat powiedział: »Patrzajcie! oto występek wcielony! — »okropny szkaradny, straszny, bo ma twarz zachwycającą! Kuzynko oddaj mi ją — to moja własność, to niewolnica amerykańska — ja ją kupiłem za pieniądze. Ty wymarzałaś raj, a ona ci zgotowała piekło. *(zamierza się harapem — Gontran nagle przystępuje i chce go uchwycić w pół pasa — pan Sécherin odskakuje w bok)* Ha! to ten nędznik, ten łotr, Adonis wielkiego świata. *(mówiąc to, szuka po kieszeniach i wyjmuje parę pistoletów — kobiéty krzyczą zasłaniając sobie oczy).* Wiele masz w żyłach téj plugawéj krwi nędzniku? — do mnie ona należy. — Na, weź to narzędzie śmierci — i piérś w piérś rozpocznijmy szlachtowanie!

Gontran. (cofając się ku drzwiom)

To szaleniec!

P. Sécherin.

Stchórzyłeś rycerzu! A więc giń. *(w momencie wystrzału, pan de Mortagne w towarzystwie Fijołka, i Ojca Clary, wpada na scenę, chwyta pana Sécherin za rękę — słychać wystrzał. Wbiega panna de Maran, a ujrzawszy półkownika, pada zemdlona na krzesło).*

Scena XI.

Ciż sami, Pan de Martagne, Fijołek *) Ojciec Klary.

P. de Martagne. (w głębi teatru — liberya przelękniona)

Winowajca do mnie należy.

Pan Sécherin.

Żyje, żyje! O wściekłości *(pada bez zmysłów na ziemię).*

Matylda. (rzuca się w objęcia półkownika)

Ojcze! daj przytułek sierocie! a tego, zostaw jego własnemu sumieniu! *(pokazuje męża).*

P. de Martagne.

Wychodź ztąd Matyldo, bo ja rozpoczynam exekucyą. — *(Od początku wejścia, pana de Mortagne, Ewa schroniła się za Matyldę, i przypatruje się półkownikowi całą drżąca, ale z wyrazem zachwycenia na twarzy).*

Matylda.

Łaski! Łaski!

P. de Mortagne (niezważając na prośbę Matyldy — do Fijołka)

Fijołku! podnieś mi ten pistolet. *(Fijołek podaje broń swemu panu)* Gontranie! hrabio de Lancry — jesteś podły!

Gontran.

W tém słowie jest śmierć.

---

*) Dawny feldwebel staréj gwardyi.

Ewa. *(która się tymczasem skryła za stojące lustro zwane psyché — do siebie, wskazując palcem półkownika)*

O Boże ochraniaj tego!

P. de Mortagne.

Tak! dla ciebie — ja widzę ją w twojéj twarzy. — Pistolet jeden dla nas dwóch, a oto pieniądz! *(dobywa z kieszeni pięcio-frankowego talara)* Wyrzucisz figurę — zabijesz mnie? — wyrzucisz litery, zabiję ciebie. No prędzéj! Powtarzam, jesteś podły, podlejszy od parobka kata!

Gontran.

Piekło i przekleństwo! *(wyrywa pieniądz z rąk półkownika i ciska go w górę. Matylda zakrywa sobie twarz rękami).*

Fijołek. *(schylając się)*

Piekło dla ciebie panie hrabio — niebo dla nas! Wictoria!

Zasłona zapada.

(Koniec III^go Aktu i Pory II^éj).



KRONIKA PIŚMIENNICZA POLSKA.

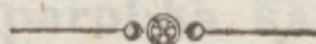
82. *Polska aż do pierwszéj połowy XVII wieku*, pod względem obyczajów i zwyczajów we czterech częściach opisana przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego. W Petersburgu i Warszawie w Księgarni Eggersa i Sennewalda 1842 r. T. I. str. 446 T. II. str. 468 T. III str. 383 T. IV str. 470.

Uczony autor starał się dać zupełny obraz wewnętrznego żywota kraju naszego. Takie zadanie jest bezwątpienia olbrzymie, náder trudne lecz, i nader ważne. A gdy dobrze wykonane, jest sercom Ludu milsze może i pożyteczniéjsze niżeli rozwijanie pomysłów własnych, jeżeli te nie będąc olbrzymiemi, istoty ludu we względach żywotnych nie dotykają.

Trudności połączone z wykonaniem obrazu życia narodu są tak wielkie, iż przechodzą bezwątpienia siły jednego człowieka, stąd téż niepowinno nas zadziwiać, że dzieło p. Maciejowskiego — obrazem przeszłości naszéj, — jeszcze nie jest. W dziele takiego rozmiaru i zadania nie powinno nas tak-że zadziwiać wciśnięcie się tu i owdzie błędu, lub i nie właściwego sądu; — Autor często ze zdarzeń nazbyt szczegółowych wyprowadza wnioski o ogóle, a wnioski takie podały pole do zaciętéj polemiki którą przeciw temu dziełu wytoczył J. L. Rychter w Biblijotece Warszawskiéj. Słuszniéj jednak i pięknie, w tém-że samém czasopiśmie wyraził o pracy Prof. Maciejowskiego zdanie swoje K. Wł: Wójcicki, — który prostując ogólne wnioski ze zdarzeń wyjątkowych przez Autora wyprowadzone, oddaje pracy jego wszelką sprawiedliwość, pracy, która we względzie dziejowym, poprzednim dziełom

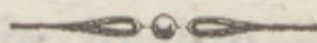
Prof. Maciejowskiego, zupełnie jest odpowiednią, i powstała bezwątpienia z olbrzymiéj erudycyi, wyrobionéj myśli i moralnego wgłębiania się w istotę przeszłości naszéj.

Ta istota przeszłości naszéj ujęta jest ze strony chorobliwéj, —jest jakby patologiją minionego życia, upłynionych czasów — niebierzmy jednak téj jednostronności za złe autorowi, gdyż ma on siłę i uczoność po temu, aby stronę zdrową, — fizijologiję naszéj przeszłości, podać — i bezwątpienia odmalować nieomieszka obrazu, który nam cnoty Ludu w całéj świetności dzielnie wystawi.



NOWOŚCI PIŚMIENNICTWA

Duńskiego, Szwedzkiego i Holenderskiego.



W Kopenhadze wydany »*Skald*« jestto dwu-tomowy zbiór pieśni ludów skandynawskich; a ile pieśni, a mianowicie ballady ludów Szwedzkich, Norwegskich i Duńskich uroku mają, wiadomo jest każdemu z lubowników piśmienności powszechnéj. W Stokholmie urządzono poszytowe wydawanie zbioru przekładów Arcy-dzieł obcych języków, przełożonych przez kilku poetów i uczonych. — Schiller rozpoczął rząd autorów przełożonych, lubo już kilka tłumaczeń utworów tego wieszcza posiada język Szwedzki, — a niektóre z nich są wzorowe.

W Hadze wyszedł przekład dzieł Wiktora Hugo. Z utworów oryginalnych tam-że wydanych podobaią się najbardziéj poezyje pana Lijk.

